ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. Października N.er 42. Roku 1843.

ZAŚLUBINY Z MORZEM.

(Dokończenie.)

Na wieść nagłego odjazdu Zijaniego, lud pokładający w nim całą nadzieję, a obawiając się o rzeczpospolitę, opanowawszy wszystkie statki w ostoi, chciał za nim w pogoń się puścić. Na szczęście w sam czas spostrzeżono oba przybliżające się okręty, a okrzyk radości rozległ się w powietrzu. Wesołe tłumy otoczyły wyglądanego zbawcę a szczęśliwy Malapiero zawołał z głębokiem uczuciem:

»Cieszcie się szlachetni Wenecyjanie! Zijani jest nam wrócony, ręczę wam teraz za dobro rzeczypospolitéj.«

Zijani stał milczący i nieporuszony, oczy jego błądziły po zgromadzonych tłumach bez udziału, a w twarzy jego nie było widać najmniejszej dzielności wyniosłéj duszy jego.

»Jako? Jużeśto zapomniał ostatnich słów Giovanny?« biorąc go za rękę, zapytał ze łzami Daponte. Miałażby córka moja nadaremnie poświęcić się bohaterskiéj śmierci?.... — Zijani w milczeniu podniósł oczy ku niebu a łzy zrosiły jego mężne oblicze. Tymczasem lud cisnąc się tłumem do niego, nie ustawał wołać: »Niech żyje Zijani! niech żyje nasz zbawca!« — Ale wnet spostrzega przy boku jego mordercę Doży, i gdyby Zijani nie był stanął mu w obronę i nie dał objaśnień zaspakających, byłby Daponte nieochybnie padł ofiarą pospólstwa.

»Jeżeli zawinił, ustawy go ukarzą«, rzekł z godnością, »i tylko one zawyrokują o losie jego. Przymuszacie mnie Wenecyjanie nosić koronę — przyjmuję ją z rąk waszych, ale nie zapominajcie, jak drogo ją opłaciłem! Wstępuję na tron z skrwawionem sercem, czynię przed Bogiem i wami ślub uroczysty: Będę sprawiedliwym ale oraz surowym i nieprzebłaganym dla winowajców!«

»Sława Doży, sława tysiąc-krotna!« była odpowiedź napełniająca miasto ni huk skłóconego morza. W tryjumfie zaprowadzony do pałacu książęcego, wyznał tam uroczyście zgromadzonym senatorom skłonienie się do woli ludu i przyjęcie godności Doży. Daponte oddał się sam w ręce sprawiedliwości, sprawy jego bronił Malapiero przed senatem; heroizmem Giovanny zmiękczył wszystkich serca, zamordowanie Vitalego wzięto za skutek obłąkania; uwolniono starca, który został nadal najwierniejszym poddanym swego nowego władcy.

Pod Zijaniego mądrym i silnym rządem, powróciły dobry byt i spokój, Wenecyja odzyskała znaczenie i stanowisko stracone w ostatnich wypadkach. Lud czcił młodego księcia, ale nie zapominał okropnéj i nie zasłużonéj śmierci jego poprzednika. Opinija publiczna żądała zupełnego zmazania zbrodni i zatarcia krwawéj pamiątki tego czynu. Domagała się: aby Zijani podzielił koronę książęcą z młodą Bianką, piękną Vitalego córką. Przyjaciele Doży wspierali prośbę ludu; spodziewano się, że uprzejma czułość uroczéj małżonki, zniszczy głęboki smutek, który go potajemnie trawił, lecz Zijani był głuchym na wszystkie podobne pomysły, i oddał rękę nadobnéj sieroty dzielnemu Malapieremu, już posiadającemu jéj serce. Zijani został na zawsze pustelnikiem w pałacu książęcym!

Już w pierwszych początkach panowania Zijaniego, Cesarz Barbarossa prześladował papieża Aleksandra III. Dla uniknienia kroków nieprzyjacielskich swego potężnego przeciwnika, postanowił Ojciec święty po-

wierzyć się pieczy Wenecyi, i zakończyć dni swoje w spokoju w jakim klasztorze tego miasta. Rzeczpospolita nie zcierpiała tego poniżenia. Zijani w świetnym orszaku senatorów i obywateli wyprowadził czcigodnego wychodźcę z klasztoru i przeznaczył mu odpowiedne pomieszkanie w przepysznym pałacu. Daléj jeszcze postąpił, przyjął na siebie pośrednictwo u Cesarza i wyprawił w tym celu do niego poselstwo. Cesarz nie przyjął posła, nie chciał wiedzieć o żadnych układach i żądał jak najśpieszniejszego wydania papiéża.

Tak upośledzające żądanie w obliczu świata odrzucił Doża, wojna więc musiała tę sprawę rozstrzygnąć. Wzruszony taką wielką spaniałomyślnością Zijaniego, jeszcze bardziéj chcąc go do siebie przywiązać, zamierzył Aleksander dać mu za małżonkę swoję siostrzenicę, księżniczkę de Valdrada zarówno bogatą jak piękną. Przywołał ją do Wenecyi; wnet stała się bożyszczem młodzieży ubóstwiającéj jéj światło i wdzięki. Tyle uroku i urody zachwiało nawet ponurym smutkiem Zijaniego; przejęty najszczerszém podziwieniem, sam wyznał, iż w niéj poznał najpiękniejszą kobiétę na ziemi.

Tymczasem Cesarz uzbrajał flotę do uderzenia na Wenecyję pod dowództwem swego syna Ottona. Rzeczpospolita wysłała naprzeciw niego swoje, tylekrotnie zwycięzkie okręty, trwogę i popłoch po wszystkich morzach, a młody Doża stanął na czele. Przy pożegnaniu rzekł mu papiéż:

»Idź mój synu i walcz mężnie; błogosławieństwo kościoła będzie ci towarzyszyć, a po zwycięztwie czeka cię godna nagroda, ręka księżniczki de Valdrada.«

Obie floty spotkały się u wybrzeży Istryi i stoczyły krwawą bitwę. Zwycięztwo długo się na obie chwiało strony; Zijani jak lew walczył, a Malapiero i Daponte przy jego boku. Tu zakończył życie morderca Vitalego. Pomimo przewyższającéj siły cesarskiéj, męztwo i sztuka wojenna Wenecyjanów, odniosła zwycięztwo, zatopili wiele nieprzyjacielskich okrętów a spalili resztę. Nakoniec okręt Doży zahaczył okręt cesarskiego admirała i wziął księcia w niewolę. Ten cios rozstrzygnął los bitwy a szczątki floty nieprzyjacielskiéj, oddały się ucieczce.

Bogatym łupem obładowani zwycięzcy powracali do Wenecyi, a na wieść wygranéj bitwy, jedno-głośna radość rozległa się po całém mieście. Lud sławił okrzykami zwycięztwo, senat naradzał się nad uczczeniem bohatérów, a papiéż żywo się radował upokorzeniem swego nieugiętego przeciwnika. Czeladź okrętowa oddając się wesołości, upajała się winem i opowiadaniem swoich czynów bohatérskich—sam tylko nieszczęśliwy Zijani stał smutny i zamyślony na pokładzie swego okrętu, a jego ciemne oko przypatrywało się ponuro grze spienionych fal morskich.

»Nie jestżeś zadowolonym?« zapytał Malapiero, biorąc go z udziałem za rękę.

»Byłbym największym niewdzięcznikiem«, rzekł Zijani; »ale ty nie wiesz, co mi przypomina dzień dzisiejszy! Byłto dzień Wniebowstąpienia, kiedy Giovanna przed dwoma laty podobnie jak owa fala co się tam o brzég okrętu rozbija, owego poranka w morzu zginęła! Zbliżamy się do tego świętego miejsca, gdzie ten anioł szukał schronienia na miękkim puchu dna morskiego, przybytku w téj pięknéj grocie muszlanéj, o któréj poeci nasi tak uroczo śpiewają. Zamiast ślubnych kwiatów, ocienia dzisiaj wawrzyn moje posępne czoło, a ja, ni ciemny obłok przesuwam się po nad modre łoże weselne, na którém moja narzeczona snem wiecznym zasypia!«

Malapiero starał się wyrwać Dożę z tych ponurych myśli, mówił mu o sławie, o szczęściu oręża weneckiego i naprowadził mowę na księżniczkę de Valdrada, ale Zijani wstrząsnął głową i rzekł spokojnie:

»Widzę, iż mój przyjaciel podziela powszechne błędne mniemanie. W mojém sercu nié masz dla nikogo miejsca, tylko dla biédnéj Giovanny, a krom uczucia dla ojczyzny, obojętném jest na wszystko.« — Bogatémi banderami ozdobiony okręt lśniący od złota i śrebra, wiózł papiéża wraz z okazałym orszakiem na spotkanie zwycięzkiego Doży. Majtkowie powitali się wzajemnym okrzykiem radości, a książę kościoła wstąpił na okręt Doży i uściskał bohatéra.

»Bohatérze wieku, chwało swego kraju, podporo kościoła, przyjmij moje podziękowanie i moje błogosławieństwo!«

Zijani ukląkł na jedno kolano: papież położył błogosławiącą rękę na młodą, wawrzynem uwieńczoną głowę i zmusiwszy go powstać, tak rzekł do niego: »Przynoszę ci przyobiecaną nagrodę: przyjm ten pierścień zaręczenia z Elwirą, księżniczką de Valdrada, która oczekuje naszego przybycia, aby zwycięzcę powitać jako swego małżonka.«

Drżącą ręką wziął Zijani pierścień a oczy jego zalały się łzami.

»Poznaję to miejsce«, szepnął swemu przyjacielowi, »tu ona umarła, tu spoczywa, i może usłyszy mnie, gdy ten ślub wyrzeknę: »Droga Giovanno, żadna inna!«

»Nagroda ta, Ojcze święty«, rzekł Zijani zwróciwszy się do papieża, »przechodzi moje zasługi, jam już zaślubiony; jéj to (wskazując na toń morską), dozgonną zaprzysiągłem wierność i dozwól mi złączyć się z nią na nowo.«

Na te słowa rzucił łyskający pierścień w zwierciadlane wody — na łoże weselne swojéj Giovanny, która może w chłodnéj grocie muszlanéj na modrym puchu dna morskiego spoczywając i słysząc ten piękny ślub wierności, przez przeźroczyste wód kryształy spojrzała na swego kochanka!

Nie zrozumiawszy myśli mowy jego, odpowiedział papież uroczystym głosem:

»Niechże i tak będzie szlachetny książę! Niech morze będzie twoją żoną; panować nad nim dało ci prawo męztwo twoje. Odtąd na pamiątkę tego wielkiego dnia, ty i twoi następcy co roku w dzień Wniebowstąpienia, będziecie odnawiali ten uroczysty związek na znak udzielonego wam panowania nad wszystkiémi morzami ziemi!«

Pochlébstwo to podobało się Wenecyjanom, uniesieni tak pamiętną uroczystością, napełnili powietrze okrzykiem radości. Zijani pokryjomu ścisnął rękę swego przyjaciela; ten jedynie pomiędzy tysiącami, zrozumiał znaczenie jego wyrazów.

Korzystny pokój był skutkiem owéj sławnéj bitwy, zabrany Otto sam był pośrednikiem; papież i cesarz podali sobie dłoń przyjaźną, a przy rzeczypospolitéj została sława pojednania. Aż do końca swego życia (w roku 1497) wiernie dotrzymywał Zijani swojéj przysięgi, i co roku z wielką okazałością obchodził swoje zaślubiny z morzem.

Z prawdziwém uczuciem narzeczonego, jakby spełniając akt rzeczywisty u progu świątyni, rzucał każdego razu w morze zadatek niezmiennéj miłości swojéj niezapomnianéj Giovannie!

Ośmdziesiąt i jeden Dożów siedziało po Zijanim na książęcym tronie, między niémi jego wierny przyjaciel Malapiero; uroczystość zaślubin z morzem obchodzono bez wszelkiéj przerwy jak najświetniéj — ale żaden z nich nie przeczuwał, co spowodowało rzucenie piérwszéj obrączki ślubnéj w odmęty łagunów. Przeciwnie, każdego z nich w téj uroczystéj chwili przejmowała potęga rzeczypospolitéj i duma panowania nad zdradzieckim żywiołem, który przez próżny obrzęd, swoją oblubienicą nazywali.

Z ŻYCIA BOHATÉRA.

Poprowadzimy cię łaskawy czytelniku przez szereg pokoi a może będziesz ciekawym zapoznać się z ich mieszkańcami. Stoimy teraz w tak zwanym: »Pokoju miast.« Na każdéj ścianie okazuje się obraz jakiegoś miasta, mistrzowską ręką wykonany; widzimy Paryż, Rzym, Londyn i Petersburg. Widzimy wiele wież, a każda prawdziwym opatrzona zégarem; z zajęciem słyszysz uderzenie godziny; jeden zégar bije po drugim, ten prędko, ten leniwo, a każdy właściwym sobie odzywa się dźwiękiem. Słuchaj, to zégar na kościele św. Piotra w Rzymie! Co za głęboki, majestatyczny bas dzwonu! Zda się, że jesteśmy u grobu dawnych Rzymian. Teraz wchodzimy do wtórego pokoju, zwanego: »Wiejskim.« Zawiewa nas woń, jakbyśmy byli pośród zieleni pełnéj najrozkoszniejszych kwiatów; na około roztaczają się oczom lasy, łąki, góry i doliny; tam płynie strumyk, tu znów ucieka po kamykach prądek źródła łąkowego; ukryty mechanizm naśladuje do omamienia ich plusk i szmer przyjemny. Ciszéj! Uderza godzina na kościółku ukrytym w cieniu gaju; co za luby dźwięk, dźwięk dzwonu wiejskiego! Nie masz tu krzesła, ani sofy, ledwie gdzieniegdzie naturalne siadło, lub też kamienna, mchem obrosła ławeczka. Po nad głowami naszémi uśmiécha się przez śklanną kopułę niebieskie przestworze. Otwórzmyż drzwi przyboczne. Pokój pełen portretów: Richelieu, Mazarin, Condé, Turenne,

*

Vaubau, Luxembourg, Catinat, Villars, Colbert, Bossuet, Fénélon, Molière, Boileau, Bayle, Corneille, Racine, Bourdalone, Massilon, Saurin i wielu innych. Wstąpmyż do przyległego pokoju. Po wszystkich ścianach, najpiękniejsze kobiéty, jakie tylko świat posiada; obraz przy obrazie, jeden pyszniejszy od drugiego; każda kobiéta odznacza się bądź urokiem lica, bądź pięknością kibici, a każdemu za oryginał służyła rzeczywistość. Obok tego jest pokój: »Raju tureckiego.« Ze ścian witają cię zielonémi chustkami czarnookie huryski, inne znów chwytają za arfy — w ścianie zachrzęszczy metalowa sprężyna, a nagle ozywa się burza melodyi najcudniejszéj muzyki hurysek! Do zadziwienia sztuczny mechanizm. — Otwórzmy teraz pokój poblizki. U biura siedzi ów mąż, co przychodząc na świat, miał już trzy zęby, i owo sławne, raczéj osławione, wyrzekł zdanie: »*L'état, c'est moi!*« Na jego palcu błyska najkosztowniejszy soliter z ogromnéj spuścizny Mazaryna. Widzisz go trzymającego spis piérwszych poetów i uczonych z za-granicy, w złoto oprawnym ołówkiem, podkréśla niektórych imiona, w celu przesłania im podarunków, aby go wiérszem i prozą, jako piérwszego monarchę ziemi, sławili. Na biuro spogląda wizerunek margrabiny Maintenon, w dwa lata późniéj jego małżonki. Na odwrotnéj stronie obrazu napisał Ludwik własną ręką następujące słowa: »Dwunasto-letnia Frańciszka d'Aubigné, przyjąwszy zasady reformatorów, nie chciała jednego razu pójść z matką do kościoła; zmuszona do tego, obróciła się plecyma do ołtarza, za co w twarz dostała. Przyszła Maintenon tém się nie miésza, nadstawia drugi policzek i mówi: »Tylko daléj droga matko; pięknie jest ciérpieć dla religii.« — *Ex ungue leonem!*«

Teraz Ludwik ukończył swoje zatrudnienie, i powstał z krzesła. Obok w krześle poręczowém siedzi jakiś silnie zbudowany, ponury mężczyzna, z orlim nosem i dumném wejrzeniem; jest-to minister wojny Louvois. Właśnieco przeczytał podaną do króla prośbę, położył ją na bok obojętnie, a teraz również powstał.

»Przeczytałżeś waćpan to podanie?« zapytał Ludwik. »Cóż sądzisz?«

»*Sire*«, odrzecze Louvois, »bardzo mnie rozśmiésza. Człowieczek, figurka do zabawy, mały i wątły, co piérwszemu lepszemu cukiernikowi może służyc do ubrania tortu, a żąda patentu na pułkownika dragonii.«

»Czyż nie masz w mojéj armii«, zapyta Ludwik, »podobnych księciu Eużen, nizkich i słabo zbudowanych oficerów? Zda mi się, żem niedawno takiego widział?«

»Będzieto zapewne kapitan, hrabia de Valois«, odrzekł minister wojny. »Nie wyższy od Eużena to prawda, ale silniéj zbudowany. Jednakże w porównaniu do drugich oficerów, najmniéj ma okazałości, jest nieustannym celem ich dowcipów, nié ma daru dać sobie powagi, a na téj nigdy przełożonemu wojskowemu zbywać nie powinno. Książę Eużen mógłby dostać spazmów, gdyby zawąchał prochu, a Waszéj Mości starzy brodacze dragonii, którym chce rozkazywać, musieliby nosić przy sobie wonnianki do trzéźwienia.«

Ludwik na to: »Eużen zdaje mi się, przyłączył do swego podania dosyć znacznéj objętości rękopism o strategii. Dałem ci go do przepatrzenia. Jakież twoje zdanie, Louvois?«

Minister wzruszywszy ramionami, rzekł: »Książę Eużen rozwija jakieś urojone teoryje, okazujące zupełną niewiadomość szkoły praktycznéj. Jak to zwykle młode głowy czynią! Siedząc przy stoliku, rozgrzéwają swoje wyobraźność, piórem wygrywają najzaciętsze bitwy, a nareszcie wmawiają w siebie, że zdziałali polepszenie taktyki. Szkoda czasu na czytanie takich marzeń.«

»Jeźli tak«, rzekł Ludwik, »to nie mogę temu człowiekowi dać pomyślnéj odpowiedzi.«

»Raczéj niech mu *Sire* poradzi, dodał Louvois, zostać labusiem. Niech powącha myrrhy zamiast prochu.«

Ledwie te słowa wymówił, aż tu królowi zapowiadają ową figurkę, która według zdania Louvois, przydałaby się cukiernikowi do ubrania tortu.

»Wybornie«, odezwie się Ludwik, »przychodzi jak na zawołanie«, to rzekłszy, wszedł do przybocznéj sali.

Zabawnie było patrzyć się na te dwie osoby naprzeciwko siebie stojące. Różnica jaskrawo się odbijała. Ludwik: postać wysokiego wzrostu, postawa imponująca, w każdém poruszeniu godność i powaga, rysy śmiałe, królewskie; brwi w pięknych łukach, oko bystre, organ melodyjny, w sztuce reprezentacyi piérwszy mistrz we Francyi. Zjawisko spaniałe! Eużen: z postaci nizki, szczupły i niepozorny; czarne bystre oko, twarz młodzieńcza blada, nie przemawiająca; włos czarny, mowa wolna i rozmyślna, niezwykła Francuzom. Postawa nie okazywała bynajmniéj bohatéra, przenikała go raczéj jakaś skromność i niepewność, i widocznie spostrzedz było można, iż wiedział o tém, że natura, co się tycze ciała, była dla niego macochą.

»Jakież twoje żądanie, kochany książę?« zapytał go monarcha.

»*Sire*«, odpowiedział Eużen, »niech sobie Wasza Mość łaskawie przypomnieć raczy o podaniu, które mu wręczyłem.«

»Wiém«, odrzekł Ludwik jakby się namyślając, »żeś mi podał jakąś prośbę. Wierzaj mi, że ja czytałem; ale nie dziw, iż sobie zaraz nie przypominam jéj treści będąc zarzuconym tysiącami próśb z całego państwa. Jeżeli się nie mylę, prosiłeś o posadę opata? Czyż nie tak?«

Eużen zagabiony nie bardzo budującą przemową króla, odrzekł na to: »Starałem się w krótkich słowach przedłożyć Waszéj król. Mści moje chęć do służby wojskowéj; przyłączyłem oraz rękopism, owoc długo-letnich, mozolnych prac strategicznych, a nareszcie prosiłem o przydzielenie mi pułku dragońskiego.«

»Ah, prawda!« przerwie mu Ludwik. »Prosiłeś o pułk dragoński. Przypominam sobie dobrze. — Powiédz mi mój książę, czego wymagasz po żołniérzu w ogóle?«

Eużen śpieszno odpowiedział: »Odwagi, męztwa, mało-ważenia życia, subordynacyi, wierności ku monarsze i ojczyźnie.«

»Bardzo dobrze«, zawoła Ludwik. »A czego w szczególności po oficerze dowodzącym?«

»Aby umiał być posłusznym, miał przytomność umysłu, prędkie rozpatrzenie się w okolicznościach, gdzie ze stratą jednéj chwili niebezpieczeństwo rośnie; aby przy energii i wytrwałości, oszczędzał krew ludzką, był punktualnym w służbie, surowym dla siebie samego a wiernym domu panującemu.«

»Dobrze!« odrzecze król, »bardzo dobrze. Powiedziałeś prawie wszystko, opuściłeś jednakże rzecz główną — jestto: korpus! postać! zewnętrzna godność! To, co imponowaniem zowią!«

»To jest rzeczą ducha«, odpowie Eużen, »gdy się uzna sam w sobie.«

»Proszę mi darować, że zaprzeczę«, przerwał Ludwik. »To, co ja myślę, jest po części darem natury, po części téż wynikłością wychowania, a dla przełożonego wojskowego do utrzymania swojéj powagi, nieodzownem. To jest coś innego aniżeli własna świadomość zdolności i ufność w sobie. Jestto sztuką, uczynić coś z siebie, gdyby się nawet niczém nie było, rozumié się, nie bez pomocy natury. Zgadzaszże się ze mną?«

»Nie zupełnie«, odparł Eużen. »Cóż udzieliło siły Hannibalowi do wieko-pomnego pochodu przez śnieżne Alpy? Jegoż postać? przenigdy! Cóż tchnęło ową ożywiającą odwagę w skostniałe członki jego utrudzonych i rozpaczających wojowników na wysokich, śniegiem i lodem pokrytych pustyniach Alpów? Nie byłto zapewne ton jego mowy! Gdy się Hannibal i Scypio po raz piérwszy spotkali i na wolném polu w czasie spokojnego wieczora przeciw sobie stanęli, czemuż obaj wodzowie w tak długiém, wieleznaczącém milczeniu na siebie patrzyli? Nie była temu przyczyną twarz Scypiona jako urocze mieszkanie kwitnącéj piękności ani żelazna tablica oblicza Hannibala, z głęboko wyrytémi wyrazami mozolnego życia i ponuréj osowiałości wodza! Zkąd miało oko Cezara ów gromiący wzrok imperatora? Cóż go natchnęło owémi słowami, którémi śród burzących się bałwanów na trwożliwego stérnika zawołał: »Stéruj śmiało! Wieziesz Cezara i szczęście jego! »Zda mi się, że to był majestat ducha!«

Ludwik cokolwiek dotknięty, uśmiéchnął się i rzekł: »Rozprawianie twoje daje się przyjemnie słuchać. Jednakże jestem tego zdania, iżbyś, walcząc na polu bitwy śród gradu kul, inaczéj zupełnie sądził i przekonał się o różnicy woni róż a prochu, muzyki dział a tańca, krwi ciekącéj z zadraśniętego palca lubéj dziéwczyny a upływającéj z piekących ran dziesięciu tysięcy w objęciu śmierci pasujących się wojowników.

»Tak mój książę Eużen, okropna rzeczywistość inaczéj nas myślić uczy; nie przy stoliku to z rozgorzałą imaginacyją pisać poprawy strategii.«

»*Sire*, jeżeli cię zrozumiałem«, odrzekł Eużen, »chcesz mi dać poznać, iż mnie nie sądzisz zdolnym do służby wojennéj, bo mi natura niepozorną postać w udziele dała.«

»Przyznaję ci się, kochany książę — tylko nie gniewaj się na mnie — twoja prośba o pułk dragoński, rozśmiészyła mnie trochę. Dałbym ci szczérą, przyjacielską radę. Ręka niezdolna do szpady, może wznosić *turribulum*. Węch za drażliwy na proch, zniesie łatwo kadzidło. Uszy, których razi morderczy grzmot dział, niech słuchają nabożnego głosu organów. Weź twój zamiar za pomyłkę, wybierz zawód tobie odpowiedni — zostań labusiem. Rumak wojenny, zmieni się w stolec choralny, miecz śmierć niosący w brewiarz, a komenda naczelnika w Dawidowy psalm: *Miserere mei!*«

Zwykła bladość Eużena pokryła się rumieńcem, a usta jego zadrżały bolcśnie, jednakże chociaż nie rzekł ni słowa, szyderczo uśmiéchającemu się Ludwikowi dotrzymał śmiało oka.

Monarcha zapytał go daléj: »Masz co jeszcze do powiedzenia?«

»Nic więcéj *Sire*«, odparł zimno Eużen. »Dozwól mi tylko Wasza Mość prosić o dymissyją.«

»Nie zatrzymuję cię ani chwili«, odpowiedział Ludwik. »Udaj się, kędy sądzisz znaleźć szczęście dla siebie, serdeczne życzenie moje, wszędzie ci towarzyszyć będzie. Jesteś wolnym.«

Eużen skłonił się; słońce południowe zaglądnęło przez okna pysznéj sali posłuchalnéj a Mazarina soliter ciskał iskrzące połyski. — Eużen chcąc się nauczyć sztuki zapomnienia, oddał się

dnia tego naprzód zabawom towarzystwa, a potém samotności. Spokojność duszy jego była na zawsze zburzona. Dzikie myśli wichrzyły wnim, jakby gniazdo rozbudzonych szerszeni. Rozegrzawszy głowę szampanem, stanął przed swojém aż pod powałę sięgającém źwierciadłem; z ponurą przykrością, z szyderczém pośmianiem pogladał na swoję osobę i zawołał: »Czemuż nie jestem o dwie głowy wyższym! Naturo, tyś nie z macierzyńską dowolnością postąpiła sobie ze mną! Raczéj być owadem zdeptanym nogą podróżnego, niż tak niepokaźnym karłem!«

W kilka dni potém otrzymał brat jego w Austryi list następujący:

»Byłem u Ludwika XIV. Świat zwie go wielkim; znalazłem go niegodnym tego nazwiska.«

»Prosiłem o patent na pułkownika dragonii. Korpus mój wybrał sobie za cel swego niekrólewskiego szyderstwa i radził mi—zostać labusiem. Żądałem dymissyi, dał mi ją w sposób pogardliwy. Ludwika urąganie rozraniło dawną moję bliznę. W dwudziestym roku starałem się o patent na pułkownika u dragonów, w dziewiętnastym o rękę hrabiny de Crebillon. W jednym i drugim razie mój niepokaźny wzrost stał mi na przeszkodzie.«

Postać hrabiny była rzadką doskonałością, w jéj twarzy panowała szczéra szlachetność duszy, którą w kobiécie nad piękność przenoszę; umysł jéj był delikatnego wykształcenia. Ale cóż mi potém—kiedy hrabia d'Allemagne był pięknéj urody i słusznego wzrostu kawaler! Od czasu posłuchania mego u króla, mam już za najpiérwszy dar natury dla mężczyzny: wzrost i urodę. Piękny, słusznego wzrostu mężczyzna, jestto list polecający, który chętnie cały świat czyta. Radzibyśmy n. p. poznać pana N.N. Drzwi się otwiérają—ón wchodzi—ah, co za spaniały mężczyzna! Każde jego słówko, niech ono będzie dowcipne, mądre lub nie, z upodobaniem wszyscy pochwytują. Całe drzewo życia z tysiącem konarów swoich, zgina się przed nim nizko, a on zrywa wygodnie złote jego owoce: miłość, bogactwo i sławę.

Radzibyśmy poznali pana N. N. Drzwi się roztwiérają — wchodzi nizki, niepozorny, nie pięknéj urody mężczyzna. »Inaczéj go sobie wyobrażałem!« Nie odpowiedział oczekiwaniu, nie mógł zaimponować! O jego zdolnościach umysłowych mićć jakieś domniemanie, nikomu ani na myśl nie przyjdzie. Nikt przeczuć nie zdoła, iż w tak małém naczyniu duch olbrzymi mieszka. Przyroda skazała go na ciężką walkę, a niechże ma bujną, gorejącą wyobraźność, niech zechce poszukać tego w swéj piersi, czego mu świat zewnątrz odmówił, a powiedzie mu się jak owemu żeglarzowi, gaszącemu pragnienie słoną falą morską! Płonąłem gniewem i miałem rozprawę z naturą. Ale późniéj wszedłszy sam w siebie, zapytałem: »Czémże jest ów gniew na naturę, którym się nie jeden jak urocza łuną uświetnić stara?« przekonałem się: że niedorzecznością. Gniewać się na naturę, jestto gniewać się na iściznę, na zbiór sił sobie nieświadomych, wedle nieodmiennych, odwiecznych ustaw działających. Gniewać się na naturę, jestto gniewać się na dawcę tych ustaw. Więc znowu niedorzeczność. Bóg bowiem jest to samo, co najwyższa mądrość. A cóżto jest gniewać się na najwyższą mądrość? Niedorzeczność. Otóż ta myśl prawdziwa mieszka na dnie téj pięknéj gadaniny: »Gniewam się na naturę.«

Szukałem pojednania, i znalazłem w téj idei: Duch powinien być mistrzem ciała i brać nad niém piérwszeństwo. Jeżeli w doskonałym ustroju ciała duch się objawi, nié masz w tém nic dziwnego. Ale jeżeli z najnieokazalszéj obsłony wystąpi majestatycznie i jak słońce z obłoku potężnie zawładnie, o, wtedy, jestto widok dla Bogów! To jest zadanie godne prawdziwego męża, i odtąd będzie ono dla mnie.

Cały czas poświęcam nauce taktyki, matematyki i historyi. Trzy godzin śpię tylko.

Na przyszły miesiąc opuszczam Paryż i wstępuję w służbę austryjacką. Zacznę od prostego. Nié mam spokoju, muszę wytrzéć się z pomroczněj obsłony i własną siłą ducha stanąć z czasem jak wolne słońce na niebie!«

Brat przysłał mu następującą odpowiedź z Austryi: »List twój czytał Cesarz. Leopold I., zaprasza cię do służby austryjackiéj. Zamiar twój służyć od prostego, podoba mi się; Cesarz zajął się tobą, a tak od ciebie tylko zawisło dopiąć swego celu.«

Przy odsieczy Wiédnia stał Eużen pod rozkazami Sobieskiego; jeden olbrzymi, w bitwach posiwiały dragon, spoglądając z dobrodusznym uśmiéchem na małego ochotnika, rzekł do swego towarzysza: »Hej bracie, mnie się zdaje, iż ten mały kapucyn nie wielu Turków brody pozbawi.« Eużen to posłyszał i zalał cały gniewem. Dawna rana znowu się rozjątrzyła, a ta myśl: duch powinien swą rodzimą potęgą wzbić się nad ułomne ciało, tak go na skróś przejęła i tak silnie owładła, iż nadludzkiém prawie męztwem spłonąwszy, dnia tego tyle dał dowodów talentu i waleczności swojéj, że go lwem bitwy nazwano.

Leopold I. uznając w lichéj czarze szlachetne wino szampańskie—mianował młodego bohatéra pułkownikiem i dał mu pułk dragonii.

Wkrótce potém rzekł Ludwik XIV. do ministra wojny: »W tym człowieczku diabeł siedzi! Louvois, źleś mi się poradził. Niech mię co bądź kosztuje, musimy tego małego diabła zwabić do siebie.«—Królewsko-francuzki poseł pełen ułudnych słówek, stanął przed Eużenem: »Namiestnictwo Szampanii? Godność marszałka Francyi, i 2,000 Louis d'orów rocznego dochodu?« Eużen odrzekł: »*Labuś* pozdrawia króla Francuzów! Ale woli jego zadość uczynić nie może, gdyż już został cesarskim jenerał-feldmarszałkiem, co równie tyle znaczy, ile królewski marszałek francuzki. Co do pieniędzy, daje mi Cesarz więcéj niż potrzebuję, a nakoniec powiédz twemu władzcy, żem się nie spodziéwał, aby Ludwik XIV., którego świat wielkim zowie, tak haniebny błąd popełnił i mierzył męża—łokciem!«

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 42. i obejmuje: 1) O urządzeniu i zarządzie dóbr. Rys ze względu na stosunki galicyjskie skréślony przez Kazimiérza Józefa Turowskiego. (Ciąg dalszy). 2) Odpowiedź względem sposobu uprawiania roli kołowaniem i regularném nawożeniem téjże co lat pięć. (Dokończenie). 3) O gorzelniach i ziemniakach.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 22. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Przez ulicę, obraz fantastyczny, przez Józefa Dzierzkowskiego. (Dokończenie). 2) Wiersz: Zaklęcie z Bajrona. 3) Korespondencyja. 4) Nowości literackie. 5) Teatr.

W Wilnie: Nakładem Teofila Glücksberga mają jeszcze tego roku wyjść następujące dzieła: 1) *Athenaeum* oddział IV. 2) *Mieszaniny historyczne* Stanisława Lachowicza. 3) *Nowa powieść* I. J. Kraszewskiego. 4) *Oblubienica Messeńska*, trajedyja liryczna, przekład z Szyllera, przez B. F. Trentowskiego. 5) *Pamiątki starego szlachcica litewskiego*. 6) *Pan Dezydery*, powieść, przez Konstantego Podwysockiego. 7) *Tajkury*, powieść, przez Edwarda Tarszę. 8) *Ukraina dawna i teraźniejsza*, przez Michała Grabowskiego. 9) *Teka rozmaitości* ks. Hołowińskiego. 10) *Ornitologija powszechna, czyli opisanie ptaków wszystkich części świata*, przez hr. Konstantego Tyzenhauza, tom drugi.

Angielski teatr za czasów Szekspira. Nie będzie od rzeczy wiedziéć, w jakichto domach za czasów dawniejszych, kiedy sam Szekspir na deskach występywał, grywano jego nieśmiertelne dzieła, jakie było ich urządzenie i jaka budowa. Teatra były drewniane, forma ich okrągła zbliżająca się do budowy wieży, ku górze były otwarte, przed powietrzem nie zasłonięte, sama scena tylko była pokryta dachem słomianym. Po nad tymże dachem powiéwała chorągiew' w czasie przedstawienia scenicznego, które się zaczynało o godzinie trzeciéj z południa, po trzykrotnem trąb odgłosie. Panowie i panie za dworu Elżbiety, zajmowały miejsce w łożach pod galeryją, lub też na stołkach w około sceny ustawionych. Niéraz można było widziéć modnisiów rozciągniętych na deskach sceny wysłanej rogożą, którym paziowie usługując, podawali fajkę i tytoń—(byłto podówczas bardzo poszukiwany, drogi, zbytkowy artykuł)—Klasa średnia mieściła się w cyrku *Pit*, gdzie żadnych nie było ławek. Ruchoméj maszyneryi scenicznéj nie znano wtedy, dopiero po restauracyi zaprowadził je Davenant. Były-to wprawdzie dekoracyje przedstawiające lasy, zwierzęta, wieże, ale niezgrabną wykonane ręką. Nie oznaczano miejsca działania, tylko wywieszano tablicę, na któréj je wielkiemi głoskami wypisywano. Przed każdym aktem odgrywano pantomimę: *Dumb Show*, która wyrażała w krótkości to, co nastąpić miało. Zwyczaj ten zachował Szekspir w Hamlecie w téj scenie, kiedy się teatr przed królem i królową odgrywa, sam zaś zaniechał to w swoich dziełach. Dziś to wszystko źleby się wydało, odkąd sztuki bajeczne ustąpić musiały dramie historycznéj okwitéj w działanie i charaktery, i komedyi żywą akcyją zajmującéj. Chór dłużéj utrzymał się na scenie, przychodzi on jeszcze w Fauście Marlowa i w Henryku VI. Aktorki dopiéro od czasów restauracyi zaczęły występywać na scenie. Role kobiéce były odgrywane przez młodych chłopców lub młodych mężczyzn z rysami twarzy kobiécej. To może poniekąd usprawiedliwiać, że mowa kobiét w sztukach z owych czasów, była częstokroć nieprzyzwoitą i prostacką, z drugiéj zaś strony może ta okoliczność była właśnie popędem dla Szekspira, że skréślał wzory kobiécych charakterów tak ukończone. Po każdém przedstawieniu śpiéwał lub wygłaszał: *Cloun* czyli *Buffoon* (kuglarz, śmiészek), rozmaite rymowane klecidła, które były częstokroć satyrycznémi postrzałami do znakomitych osób publicznych, lub chłostą zaszłych wypadków. Nim widzowie się rozeszli, aktorowie uklęknąwszy na przodzie sceny, odmawiali modlitwę za królowę.—My postąpiliśmy wprawdzie w zewnętrznym przyborze, w maszyneryi dekoracyjach, ale straciliśmy może to, na czém istotna wartość sztuki polega.

Słońce. Plamy, które w słońcu spostrzegamy, rzekł sławny astronom Arago w swojéj ostatniéj prelekcyi, nie były, jak się zdaje, znane starożytnym narodom, gdyż dopiéro około r. 1611 jest o tém mowa w piśmie pewnego Holenderczyka. Plamy te są dwojakie, jedne dają światło, drugie są podobne do nieprzeźroczystego ciała. Forma ich jest rozmaita, cała powierzchnia słońca zdaje się być regularnémi zmarszczkami okryta, podobnie jak skóra cytryny. Co do mocy światła słonecznego, obliczył pewien astronom, że gdyby się jeden cal substancyi słonecznej dał znieść na ziemię, dałby tyle światła, co 12,000 świéc.—Częste jest to twierdzenie, że temperatura ziemi się zmieniła. Arago zaś dowodzi uwagami szkoły aleksandryjskiéj, późniejszémi Arabów, i teraźniejszemi dostrzeżeniami, że się temperatura ziemi od 2,000 lat ani o jedną dziesiątą część stopnia nie zmieniła. Astronomija wprawdzie twierdzi, że nie jest niepodobna, aby słońce w biegu wieków nie zniknęło z firmamentu, tak jak wiele gwiazd przestało już świecić, ale tych plam słonecznych nie mają astronomowie za oznakę ubywania słońca.

Marteveau, tkacz jedwabiów w Lugdunie, miał urządzenie mechanizmu przy tkackiéj maszynie Jacquarda zastosować do narzędzi muzycznych. Pierwszą próbę miał już rozpocząć z akordijonem. Takie samo urządzenie, jak przy téj maszynie do zmieniania wzorów, ma być także do zmieniania tonów.

W Berlinie jest 400 lekarzy, w całym pruskim państwie 2,200, między temi 650 chirurgów pierwszej klasy, tak, że na 7,450 osób w Prusiech jeden lekarz przypada.

Tegoroczna jesień. Dawniej udzieliliśmy przepowiedni o tegoroczném lecie z dziennika peszteńskiego. Z tegoż samego pisma umieszczamy wróżbę o tegorocznej jesieni: W październiku, listopadzie i grudniu, będą większe zimna niż zwykle. Wcześnéj zimy należy się spodziewiać. Téj jesieni będą częste burze i wiatry panować, dnie będą więcéj pogodne niż dżdżyste; mimo to jednak, będziemy mieć także wiele dni słotnych. W październiku powietrze niestałe i słotne; po św. Teresie, jeźli zimno naciśnie, będziemy mieć śniegi. W listopadzie będą największe zimna i wiatry, gdy przeciwnie grudzień będzie najpiękniejszym z miesięcy jesiennych.

Karol Filtsch, pianista, o którym raz już była wzmianka w naszém piśmie, uczeń naszego mistrza Szopena, jest nadzwyczajném zjawiskiem w świecie muzykalném. Jako dwunasto-letni chłopiec stoi już na tym stopniu mistrzowstwa, co Liszt i Thalberg. Taki jest głos powszechny zagranicznych dzienników. Majerbeer słysząc go grającego, uścisnął rękę młodzieńca i oświadczył, że w muzykalnym zawodzie czeka go wielka przyszłość. Wielbiciele jego ofiarowali mu w podarku popiersie Szopena. Dla swojego ucznia zmienił Szopen swoje dotychczasowe samotne życie, dla niego bywa na wszystkich muzykalnych wieczorach. Twarz jaśnieje mu radością, kiedy widzi swego ucznia odnoszącego tryjumfy. Gdy Filtsch wykonał jego *Concert w E-dur* pisany, ze łzami w oczach te rzekł słowa: *»Mon Dieu, quel enfant! Jamais personne ne m'a compris comme cet enfant, qui est le plus extraordinaire, que j'eusse rencontré! Ce n'est pas de l'imitation, c'est un même sentiment, l'instinct, qui le fait jouer sans réflechir, tout bonnement, que comme si ça ne pouvait être autrement!«*

Nowa maszyna dla oświetlania sceny. Wiadomo, że gdy przychodzi wystawić dzień lub noc na scenie, kilka rąk na to potrzeba, gdyż co kulisa musi być jeden z czeladzi teatralnej czynnym, a jeden przy pierwszym rzędzie lamp przed samą sceną. Ale teraz wynalazł młody utalentowany mechanik Karol Heyndlhofer, taką maszynę, że sufler może za jedném poruszeniem całą tę maszyneryję wykonać. W teatrze wiedeńskim w Josephstadt już tę maszynę zaprowadzono.

Powierzchowność Szyllera. Na twarzy tego nieśmiertelnego poety malowała się słodycz połączona z godnością; jego przyjazne spojrzenie zjednywało mu wszystkich serca. Ale ułożenie całej jego postaci, bezkształtne nogi, i szczególniejsze poruszenia głowy, niemiłe robiły wrażenie. W ubiorze nie tylko, że nie miał żadnego gustu, ale grzeszył przeciw wszelkim regułom dobrego smaku, a najczęściéj wtedy najdziwaczniej był ubrany, kiedy się chciał najbardziej wystroić. Nie byłoto niezwykłą rzeczą, widzieć na nim w jednym ustroju ubioru frak niebieski i czerwoną chustkę na szyi, lub też żółte spodnie i ciemne pończochy, co jego całéj postawie nadawało wyraz dziwaczności, zwłaszcza, że miał wygięte kabłąkowate nogi i kolana, które się ku sobie schodziły. Również i sposób witania ukłonem obcych jemu osób, miał cechę lekkiéj śmieszności. Głos jego miły i dźwięczny w rozmowie przyjacielskiéj, raził jednak jakąś chropowatością. Ale gdy swoje poezyje wygłaszał, trudno znieść było, czynił to bowiem tonem śpiéwającym, szkolarskim. Kto nie znając Szyllera, słyszał go wygłaszającego poezyje, ten musiał go mieć za nieukształconego człowieka, który sam nie wiedząc co czyta, psuje piękności poetycznego utworu. Czego się tylko jął, z przesadzonym rzucał się ku temu zapałem. Miał konia wierzchowca, którego z domu wypuszczał w galopie, a który wracał zwykle *ventre à terre*. Szczęściem, że koń znał jego mieszkanie i że ulica, przy któréj mieszkał, była właśnie przy samym domu jego zamkniętą, nie mającą ani przechodu ani wyjazdu, inaczéj nie umiejąc zażyć konia w rozpędzie, byłby musiał z nim lecieć, dopókiby koń sam nie był stanął. Niebezpieczna więc była dla obcego, dosiadywać konia Szyllera, bo nim się jeździec spostrzegł, już wziąwszy na kieł pognał z nim w dzikim galopie.

Ogrody z samych róż największe na całéj ziemi, znajdują się w Anglii w hrabstwie Hertfordshire, zajmują 80 morgów pola. Na tych ukwieconych obszarach, naliczyć można 2,000 róż gatunków. Właścicielami tych ogrodów, są poczęści lubownicy kwiatów, poczęści ogrodnicy, którzy się wyłącznie pielęgnowaniem róż zajmują. W Dane End jest własnością prywatną największy ogród zasadzony różami, które się wiążą w kwieciste chłodniki, okręcają jako wieńce w około drzew i krzewów, osłaniają parkany różowém kobiercem, lub tworzą klomby i rozno-wzore grupy. Główną ulicą ogrodową idzie długi, széroki szpaler z róż, które wijąc się w około słupów, przerzucają się wiankiem z jednéj na drugą stronę. Czarujący jestto widok, gdy się ten różowy szpaler w czerwcu kwiatem okryje. Najsławniejszy ogrodnik, nazwiskiem Riwers w Sambridgeworth, poświęca około 40 morgów ziemi na pielęgnowanie tego pięknego kwiatu, utrzymuje pięć cieplarń, w których róże w wazonach rosną i prowadzi najrozleglejszy handel; sprzedaje bowiem rocznie między innémi z jednego tylko gatunku róż *crimson perpetual* około 5,000, z innych zaś około 20,000. W ogóle ogrodnictwo w Anglii jest na najwyższym stopniu. Niedaleko Londynu w Chiswick jest ogród towarzystwa ogrodników. Tam rokrocznie w maju jest wielka wystawa kwiatów, która towarzystwu 25,000 talarów za sam tylko wstęp przynosi. Największą także osobliwością jest olbrzymia cieplarnia, czyli ogromny pałac pod skłem, gdzie się nawet najwyższe drzewa z pod gorącej strefy zupełnie rozwijają.

Lafarge. Że ta pani jeszcze zajmuje uwagę publiczności, dowodem tego jest natłok wielu osób przy licytacyi jéj sprzętów w zamku Glandier i nader wielkie ceny, które za nie uzyskano. I tak za jéj suknię ślubną zapłacono 800 franków, za książkę do nabożeństwa 50 fr., za kontur jéj twarzy 25 franków. Licytacyja trwała dni czternaście.

Rzadki artylerzysta. Pewien młody chłopiec w Paryżu, naśladuje gębą wystrzał z działa. Jest on posługaczem w kawiarni de Toy; z ust jego wymówione *bon*, którem na żądanie gości odpowiada, grzmi jak 36-funtówka. Ten artylerzysta dający ognia gębą, nazywa się Collot, jest synowcem sławnego i osławionego mowcy konwentu Collot d'Herbois.

Szczególniejszy pojedynek, który się odbył na wyspie Cejlon, opisuje Campbell w swojem dziele. Dwaj młodzi ludzie poróżniwszy się o dziewczynę, wyzwali się do rozprawy. Obadwaj po kolana w wodzie stanęli naprzeciw sobie i jeden drugiemu bryzgał z zaciętością w twarz wodą. Pojedynek trwał około sześć godzin. Warunek położono, że który piérwéj ustanie w tej walce, będzie za zwyciężonego uznany. — Życzyćby należało, aby ten pojedynek na zimno, wszedł i u nas w modę.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.